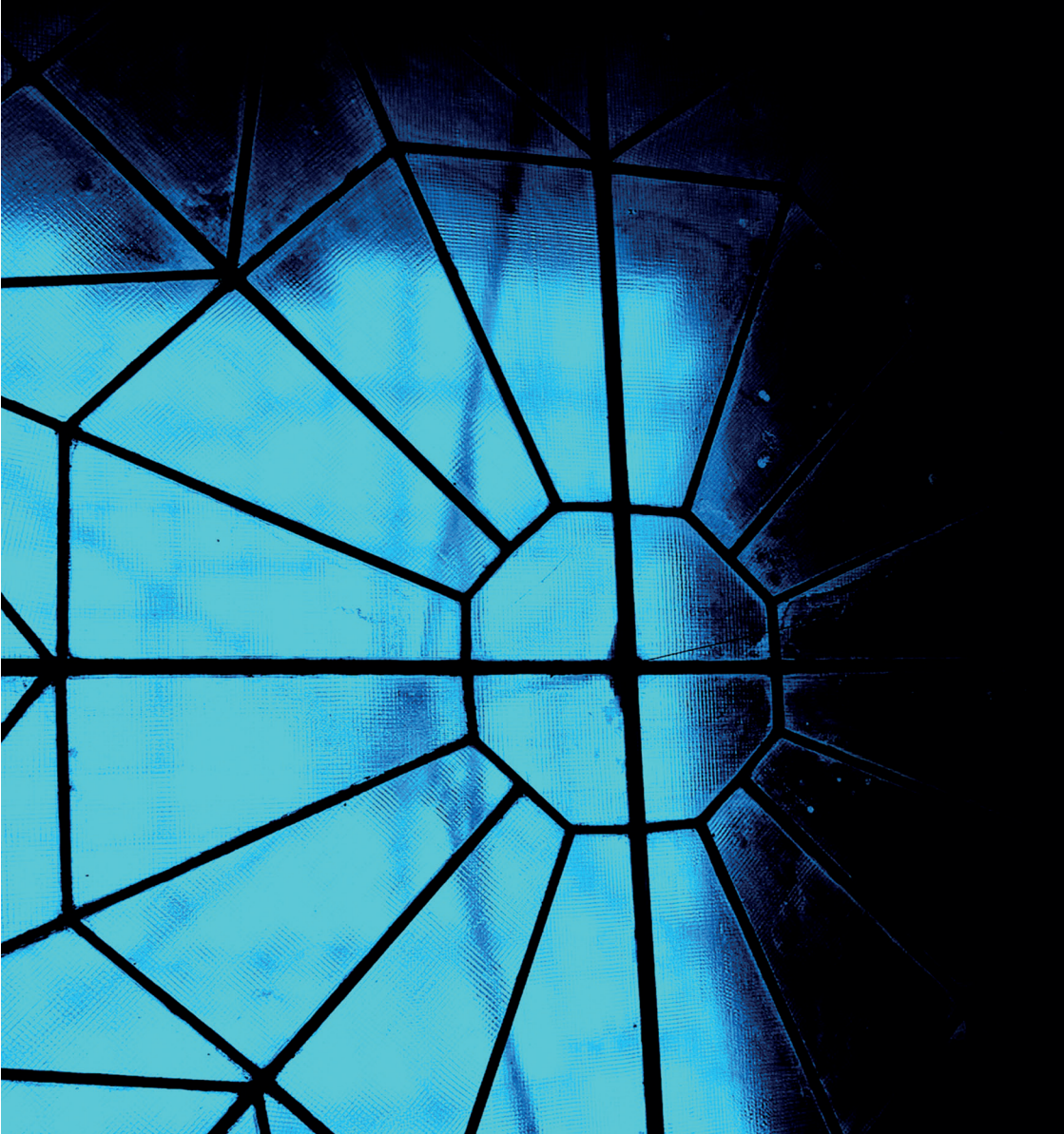


Marzena Orczyk-Wiczowska

KLATKA



Marzena
Orczyk-Wiczowska

KLATKA

Copyright ©Marzena Orczyk-Wiczowska

ISBN 978-83-7859-844-2

Rok wydania: 2017

Wydawnictwo Internetowe E-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Opieka redakcyjna nad projektem: Ilona Dobijańska

Redakcja i korekta: Ilona Dobijańska

Ilustracje na okładce: Marzena Orczyk-Wiczowska

Projekt okładki: Ilona Dobijańska

Skład: Ilona Dobijańska

Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe tylko za zgodą wydawcy.

KLATKA

Słyszę każdy trzask, szmer, westchnienie. Krucha tkanka betonu rejestruje i odtwarza: dźwięk, ruch, zapach. Metalowe zebra balustrad, korytarz, winda, zsyp; znam to miejsce na wylot. O takich jak ja, mówią: cieć, ale ja bardziej czuję się stróżem.

Codziennie przemierzam piętra, zacieram ślady. Błoto, śnieg, łuski słonecznika. Stary bilet do kina, ukruszona tabletką, chusteczka higieniczna z plamą soku albo krwi: to mówi o nich znacznie więcej, niż tabliczka z nazwiskiem czy zdawkowe „dzień dobry” rzucone w przestrzeń.

Zaczynam od ostatniego piętra, potem schodzę coraz niżej, aż do wilgotnych, ciemnych piwnic. Sprawdzam zawory, wyłączniki, kłódki. Badam fakturę ścian. Drobne odpryski tynku i żyłki pęknięć są jak linie papilarne.

W windach na trop naprowadzają mnie zapachy. Na przykład dzisiaj rano wyczułem intensywny aromat cygaretek *Al Capone Sweets*. To musiał być Piotr S. z czwartego. Do tego woń lekko nadpalonych prostownicą włosów oraz lakieru do stylizacji firmy *Wella* – Elżbieta, piętro siódme.

Niekiedy bywa zabawnie. Aniela, energiczna rencistka z parteru kontra znienawidzona przez nią Jolanta R., osiedlowa uwodzicielka. Widzę, jak Aniela w filcowych bamboszach wymyka się do piwnicy. Otwiera małe okienko, wkłada lateksową rękawiczkę i starą łyżką zeskrobuje z parapetu zaschnięte ptasie odchody. Ostrożnie wrzuca je do foliowego woreczka, po czym mknie na pierwsze. Szelest folii; ptasie kupy lądują na wycieracze Jolanty. Jestem pewien, że przy drzwiach Anieli niebawem pojawi się napis: „głupia cipa”.

Czasem mam ochotę płakać, krzyczeć. Bywa, że czuję się pusty, zwłaszcza, gdy wyłapuję myśli Elżbiety.

Elżbieta pracuje w banku. Kiedy wraca po dniówce do swojej kawalerki, kładzie na podłodze w przedpokoju dyplomatkę ze służbowym laptopem, zdejmuje czarne czółenka i układa równo przy karmazynowym taborecie. Popielaty kostium wiesza w szafie na jednym z czerwonych wieszaków. Następnie ściąga srebrny pierścionelek z niewielkim oczkiem oraz kolczyki-wkrętki i chowa je w puzderku z ciemnoczerwonej laki. Wkłada swój ulubiony bordowy dres, zaparza herbatę „Figura30+”, siada na sofie. Sofa

ma barwę dojrzałej jarzębiny, w tym odcieniu jest również mały stolik kawowy, żyrandol oraz bibeloty na meblach.

Elżbieta włącza kanał TVN Style i ogląda wszystkie programy od godziny osiemnastej do dwudziestej pierwszej trzydzieści. Około dziewiętnastej robi przerwę na lekką kolację i kąpiel. Późnym wieczorem pracuje jeszcze na służbowym komputerze. Przygotowuje oferty kredytów dla nowych klientów, sprawdza tabelki i rubryki wypełnione danymi. Numery kont, kwoty rat i daty przelewów układają się w przewidywalną symfonię cyfr. Niezawodnych, w przeciwieństwie do ludzi.

Tuż przed północą wyciąga pościel w czerwone róże, gasi światło. Jej sny są męczące, nieprzyjemne; nie lubię ich.

Jednak większą niechęć czuję do aury lokalu numer 22. Mieszka w nim kobieta w okolicach siedemdziesiątki: niska, drobna, nerwowa, o piskliwym głosie. Jeśli tylko zobaczy któregoś z sąsiadów, czy to w korytarzu, pod blokiem, czy przy osiedlowym warzywniaku, od razu przystępuje do ataku i opowiada, opowiada, opowiada. Jej monologi zwykle kręcą się wokół jednego tematu: było dobrze, jest źle, będzie jeszcze gorzej. Ostatnio w windzie zdybała nową lokatorkę spod dwunastki: „A gdzie to pani się wybiera? Do warzywniaka? To pójdziemy razem. Zawsze na zakupy z Romanem chodziłam. A pani ma męża? Bo mój Roman był taki dobry, kochany, o rodzinę dbał, ludziom dobrze życzył. Czemu Bóg go zabrał? Dlaczego lekarze nie chcieli

Romana ratować? Jeden powiedział: «Będę z panią szczerzy, jeśli mąż przeżyje, zostanie warzywem – pół mózgu zniszczone, ja bym tak żyć nie chciał». Roman leżał siny z rurką w ustach. Oczy miał zamknięte, tylko palce mu tak dziwnie skakały. Ordynator mówił, że to drgawki i jest coraz gorzej, ale może Roman chciał mi coś powiedzieć; przez te palce dawał jakieś znaki? Może w innym szpitalu by odratowali? Pewnie gdyby to był ktoś z ich rodziny, to by się starali. Wylew ciężka sprawa, ale wielu wraca do zdrowia. A tak, to co kogo obchodzi; dla takiego lekarza jeden mniej na świecie – jedno łóżko zwolnione. Pogrzeb Roman miał piękny. Koledzy z klubu brydżowego trumnę nieśli, orkiestra grała tak, że serce pękało, kwiaty nie mieściły się na grobowcu, grabarze nie pozwolili dokładać, bo by się płyta zarwała – tak żegnaliśmy Romana. A jak pani się tu mieszka? Bo mnie ciężko. Córki mam niewdzięczne, na grób ojca rzadko chodzą. Mówią, że nie da się ze mną wytrzymać. Wnuki mają swoje życie, swoje tablety, konsole. Młodzież teraz inna niż kiedyś, zła, samolubna. Za komuny wcale tak znów źle nie było. Opiekę lekarską lepszą mieliśmy. Mieszkanie cudowne, słoneczne, czteropokojowe, Roman z partii dostał. Musiałam w końcu na mniejsze zamienić, teraz tutaj gnieździć się trzeba. Ludzie wredni, nieuczynni, śmieją się z nieszczęścia. Każdy w swoje zapatrzony, powiem pani, parchy to są, nie ludzie. Dobrze, że choć emerytura po Romanie niekiepska. Czemu mnie zostawił? To już ósmy rok, jak Romana nie ma”.

Piołun, sól i ocet to mieszanka ciężka do strawienia. Ludzie tego nie lubią, unikają więc jak mogą spotkań z żoną Romana. Ja również staram się trzymać od niej z daleka.

Natomiast Piotr S. jest w porządku. Konkretny gość, nie rozczuła się nad sobą. Jego myśli i słowa są jak brzytwy Ockhama. Wysoki, barczysty, szpakowaty, wciąż podoba się kobietom. Wiek: pięćdziesiąt siedem lat. Kiedyś fotografik na topie, robił sesje dla *Mody Polskiej*, *Telimeny*, *Wólczanki*, dzisiaj właściciel małego zakładu fotograficznego. Wielką modę porzucił na rzecz zwykłych ludzi i świętego spokoju. Nie zarabia wiele, zdarza się, że zalega z opłatami za wynajem studia, ale lubi swoją pracę. Robi sesje komunijne, ślubne, zdjęcia z chrztu, czasem nagrobkowe. Najczęściej jednak fotografie do dowodów osobistych, prawa jazdy, dyplomów. No i różnych legitymacji, bo ludzie na ogół lubią gdzieś przynależeć. Z wyjątkiem samego Piotra. „Może i siła w kupie, ale strasznie śmierdzi” – to jedno z jego ulubionych powiedzeń. Właśnie przez niechęć do zrzeszania i układów skończyła się jego dobra passa. Typowy buntownik z awersją do towarzystw wzajemnej adoracji, autorytetów i stałych związków. Kiedyś łamał serca kobietom, ale to było dawno, poza tym prawie wszystkie wybaczyły. Ogólnie zadowolony, pracuje kiedy chce, dużo czyta, lubi muzykę klasyczną, filmy porno i spaceruje. Dwa razy w tygodniu odwiedza Jolantę R., w czasie gdy jej mąż wciska kolejnym klientom telefony za złotówkę.

Piotr to byt wyrazisty, mimo to nie zostawia po sobie wielu śladów. Nie atakują mnie jego wspomnienia, emocje, nie straszy grząska zapadnia ego. Oni wszyscy tacy powinni być, wtedy znacznie lżej by mi się pracowało. Zdecydowanie lubię Piotra S., czego nie mogę powiedzieć o rodzinie z ósmego piętra.

Matka, emerytowana pielęgniarka, ojciec: były górnik, który stracił na kopalni słuch i syn – Marek, bezrobotny czterdziestolatek po studiach historycznych. Trzy osoby dramatu i taki scenariusz: akt pierwszy – mamusia robi synkowi herbatę, on burczy: „Nie chcę”. Ona: „Wypij sukinsynu, nie po to zaparzałam”, on: „Nie będę pił, faszystowska gnido”. W akcie drugim – brzęk tłuczonego szkła, wyzwiska. Akt trzeci kończy domową jatkę, Marek trzaska drzwiami, wychodzi. Ojciec milczy przez cały czas. Scenariusz lubi się powtarzać, najczęściej w niedzielne poranki.

Kiedy tak krzyczą na siebie i syczą, warczą i bluzgają, ich rozedrgana, agresywna energia przenika przez podłogi i ściany, rozlewa się po wszystkich piętrach. Czuję się wtedy słabo, muszę szybko znaleźć jakąś robotę na dworze, bo inaczej bym się udusił w tej toksycznej magmie. Wolę już jazgot ulicy, chaotyczne, pełne pośpiechu myśli przechodniów, głośną muzykę puszczaną z iPhone’ów przez fanów hip-hopu.

Wracając do Marka – to osobnik niespójny, chwiejny. Czasem wyczuwam u niego rozbuchaną żywotność młodego chłopca, a chwilę później ledwo go odbieram, jakby nie był człowiekiem,

a ukwiałem, poruszającym się sennie na dnie oceanu. Ostatnio funkcjonuje głównie w drugim stanie – znowu nieszczęśliwie zakochany, bez szans i nadziei. Jego poprzedni romans z pracownicą powiatowego urzędu pracy skończył się po dwóch miesiącach, kiedy poprosił, by wybrała między nim a mężem. Teraz fascynuje go „czerwona” Elżbieta. Zdaje się być tajemnicza, a jego pociąga wszystko, co zagadkowe i niedostępne. Czasem mijają się w drzwiach klatki schodowej. Widzę, w jaki sposób na nią patrzy. Teoretycznie, mogliby zostać parą, ale wiem, że nic z tego nie będzie. On wstydzi się swojej niezaradności, braku pracy i domowych awantur. Ona w ogóle go nie zauważa. Ma swoje poukładane życie, szaro-czerwone jak flaga marionetkowego państwa. Ma też tajemnicę, której pilnie strzeże: mimo trzydziestu dwóch lat nadal jest dziewicą. Ale o tym cicho sza, bo właśnie zaczyna się sen Elżbiety.

Kładka przerzucona przez rzekę nie wygląda na solidną. Elżbieta stoi na brzegu i wie, że musi przedostać się na drugą stronę. Wcale nie ma na to ochoty, ale czuje, że nie ma wyjścia. Ostrożnie stawia stopę na wilgotnych deskach. Robi jeden krok, potem następny. Powoli posuwa się do przodu, lecz dystans, który ma do pokonania nie maleje, wręcz zdaje się wydłużać. Elżbieta przyspiesza, w końcu zaczyna biec, ale brzeg jest wciąż daleko. Zmęczona przystaje, spogląda za siebie i właśnie w tym momencie słyszy trzask pękającego drewna. Chce wołać o pomoc, jednak jest za późno. Zimna fala knebluje jej usta.